

kalejdoskop

09/2026 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)





Kompozytorka
Hania Derej w Łodzi
– prawykonanie
jej utworu „H. O. M. E.
(Home of My
Experience)” odbyło się
22 VIII w Poddębicach
w ramach Wędrownego
Festiwalu Filharmonii
Łódzkiej „Kolory Polski”

Fot. Urząd Marszałkowski
Województwa Łódzkiego



„Ucząc się od Łodzi 3:
Architektura spektaklu
Józefa i Witolda
Korskich”
— wystawa w Kamienicy
Hilarego Majewskiego,
poświęcona dwóm
łódzkim realizacjom:
Teatrowi Wielkiemu
oraz kościołowi
pw. Św. Teresy
i Jana Bosko,
czynna do 27 IX

Fot. Aleksandra
Talaga-Nowacka

Na okładce: Jędrzej Matwijów, laureat I Nagrody Aktorskiej oraz nagrody publiczności na 44. Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi
— wywiad na str. 40
Fot. Sonia Witak

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl
www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysyłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek — redaktor naczelny
Aleksandra Talaga-Nowacka
Bogumił Makowski

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva® Studio

Skład

Julia Szwed
Aleksandra Gruszczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13, 91-336 Łódź
Nakład 1600 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?
Można zaprenumerować go w redakcji.
Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 98 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl
należy przesłać swoje dane do wysyłki
wraz z informacją, od którego numeru
ma się zacząć prenumerata.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Łódź pod kapturem

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

„ŁDZ – żyć tu możesz nie chcieć (...), ale w zamian mieć chwilę, co dla wielu to sny” – nawija raper Tuwim. Wielkie robotnicze miasto, w którym upadł przemysł dający pracę tysiącom, z blokowiskami i dzielnicami biedy – to w takich miejscach rodziła się kultura hip-hopu. Według wzoru zza oceanu kształtowała się jednak pod wpływem lokalnych uwarunkowań, zawsze w konfrontacji z brutalnym życiem młodych ludzi bez perspektyw. Ponad ćwierć wieku temu formował się muzyczny styl łódzkiego hip-hopu. Nazywany brudnym funkiem, był konsekwencją upodobań i wyborów ówczesnych pionierów. Znaleźli się wśród nich nastoletni wówczas Jaś i Kasina oraz O.S.T.R., którzy w połowie lat 90. zaczęli w jednym zespole. Dwaj pierwsi, później jako Afront, wydali dwie płyty i dziś znani są tylko ekspertom. Ostatni natomiast po debiucie w 2001 roku zrobił błyskawiczną karierę i jest obecnie ikoniczną postacią, sławiącą Łódź na polskich scenach. Dlaczego Jaś i Kasina z ich błyskotliwymi, ostrymi tekstami odeszli w zapomnienie? Trudno wyjaśnić. Nie stało się jednak nic zaskakującego. Wraz ze wzrostem popularności tej muzyki część zbuntowanych artystów hiphopowych stała się rynkowymi markami – wypełniają stadiony, firmują kolekcje odzieży. I choć o wiele łatwiej niż kiedyś zmonetyzować hip-hop, wciąż jednak są tacy w najmłodszym pokoleniu, którzy kleją bity w piwnicy, „wychodzą na ośkę” i „nie chodzi im o portfel”. Podobnie jak Tuwim, „czują Łódź w kościach”, „dźwięk tych bloków dał im wyjść z chaosu” i „gdy chodzą po dawnym getcie, myślą o marzeniach”. ¶

Spis treści

14 Znikające litery.
Piotr Grobliński

16 Lato w Pabianicach.
Łukasz Barys

17 Głos fiolinowy.
Andrzej Poniedziałski

Temat numeru

Nawijanie po łódzku

20 Legenda ŁDZ.
Filip Kalinowski

24 Najcichszy huragan
w Polsce.
Filip Kalinowski

28 Debiuty w realnym świecie.
Bogdan Sobieszek

32 Niewidzialna głębia.
Dariusz Bilski

34 Historia do wielokrotnego
oglądania.
Rozmowa z Piotrem Trzaskalskim

39 Konkurs Wiedzy o Filmie.
Łukasz Maciejewski

40 Rzucony na głęboką wodę.
Rozmowa z Jędrzejem Matwijowem

44 Rollercoaster na scenie.
Michał Rzepka





- 47 **Galeria Kalejdoskopu**
Rafał Frankiewicz
- 54 **Artystka osobna.**
Gustaw Romanowski
- 56 **Jestem sentymentalny.**
Rozmowa z Tomaszem
Włodkowskim
- 61 **Zwolnieni z dykcji.**
Mieczysław Kuźmicki
- 62 **Dziewczęta łagodzą obyczaje.**
Bogumił Makowski
- 66 **Najlepszy przyjaciel człowieka.**
Marcin Andrzejewski
- 68 **Dodatek „Łódzkie inspiruje”**
– Drzewica
- 80 **Kalendarium**



Koncert hiphopowy
podczas festiwalu
Great September 2023
w Łodzi

Nawijanie po łódzku

Kultura hiphopowa narodziła się w Polsce wraz z przemianami ustrojowymi na przełomie lat 80. i 90. XX wieku. Nastolatki z wielkomiejskich blokowisk ulegli fascynacji tym, co nadciągnęło z Zachodu, a przede wszystkim zza oceanu. Chłonili obraz kultury podwórkowej i ulicznej z telewizji satelitarnej, pirackich kaset i płyt, kolorowych magazynów, filmów na kasetach VHS. Stanowiła ona odpowiedź na bezrobocie, biedę i potransformacyjny rozgardiasz, wiązała się z miejską przemocą, używkami i subkulturowym stylem ubierania się. Częścią stylu życia była muzyka – bity, sample i słowa układane w zrytmizowane rymowanki o trudnej i brutalnej egzystencji. W tych pionierskich czasach rodzący się hip-hop podążał różnymi ścieżkami, które wyznaczała lokalna specyfika. Jak ukształtował się na Bałutach, Widzewie, Retkini czy Manhattanie? Dlaczego wkrótce jego szczęściem i przekleństwem stał się O.S.T.R.? A kto dziś pamięta o Jasiu i Kasinie?

Fot. Bogdan Sobieszek

Legenda ŁDZ

Podobne Łodzi postindustrialne ośrodki miejskie są zwykle bardzo ważnymi miejscami na hiphopowej mapie świata. Czy weźmiemy pod lupę Detroit, Manchester czy Adelaidę, problemy społeczno-ekonomiczne zostały tam przekute w rap, a pustostany pokryło graffiti. Lokalne sceny wypracowały zupełnie osobny, własny styl. A jak to wyglądało na Bałutach, Retkini czy Manhattanie?

Filip Kalinowski

Zaczątki kultury hiphopowej w Polsce sięgają przełomu lat 80. i 90. Stojące u progu zmiany systemowej państwo przechodziło właśnie – nigdy tak nienazwaną, choć wręcz wzorcową – rewolucję kulturalną, a jej pierwszymi bastionami były duże miasta. Dorastający tam młodzi ludzie stanowili forpocztę nadciągającego ruchu. Jak jeden mąż, wszyscy głodni nowego i zachodniego, ówczesni nastolatkowie spragnieni byli jakiegokolwiek kontaktu bądź przynajmniej spojrzenia na tak bardzo kuszący, mityczny amerykański sen. W sukurs przyszły im wtedy telewizja satelitarna, pirackie kasyety i przywożone zza granicy oryginalne płyty, drukowane magazyny i kasyety wideo z filmami deskorolkowymi. „Akademia policyjna”, „Yo! MTV Raps” i z trudem zdobywane albumy Public Enemy, Run-DMC czy Erica B i Rakima. Do każdego z większych ośrodków miejskich docierały inne wycinki z tej trudnej jeszcze do zrozumienia, lecz już niesamowicie pociągającej, odległej, ale zapraszającej kultury podwórkowej. Czy koszykówka to też hip-hop? Czy zespół Snap! jest rapowy? Czym w ogóle różni się rap od hip-hopu? – zastanawiali się młodociani wychowankowie III RP, a lokalna specyfika ich miast dyktowała im pierwsze wybory estetyczne w kwestii rymów, bitów i życia. Kielce bardzo prędko przebrały się we flanelowe

koszule i zaczęły nagrywać rodzimy boom bap. Poznań – po części pewnie z racji swojego geograficznego usytuowania – ukochał sobie zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych i podążył drogą g-funku. Aglomeracja śląska zainspirowała się Wu-Tang Clanem i stworzyła swój własny, osobny, ale równie filmowy psycho-rap. Warszawie natomiast zawsze najbliżej było do Nowego Jorku i tamtejszego szorstkiego i surowego brzmienia Queensbridge i Boot Camp Click. Jaka była Łódź?

Najwyższe bloki w mieście

To były czasy, wszyscy wtedy jedli kwasy / Przecierane trasy, amokowe wczasy / Wszędzie do kolan i koszule w kratę / Pierwsze upalenie – pamiętasz tamtą datę? / Oni na deskach, my – początki koszykówki / Pierwsze połówki, pierwsze nabijane lufki / Pamiętasz te historie, jak zmieniała się dzielnica? / Tam, gdzie wtedy budowa, tam dzisiajszachownica / Ryneček zastąpiony wypasionym marketem / Interior zlikwidowany, a było rzut beretem / Tam gdzie teraz parking, tam kiedyś górką / Kiedyś za pasem dziewiątka, teraz w tym miejscu komórka / Wypadły do Alcatraz albo do Aliena / Zatargi pod Non Stopem, strzały z giberu D-rena / Czapeczka do tyłu i Manhattanu bluza / Eazy-E, House of Pain to była nasza muza. Tak rapował Duży Tata w utworze

„Tamte dni”. Wydany w 2000 roku na wypuszczonej własnym sumptem kasecie „Nie ma wątpliwości” kawałek jest modelowym przykładem dbałości kultury hiphopowej o własną, środowiskową pamięć. Kiedy bowiem media głównego nurtu nie są (jeszcze) zainteresowane opisywaniem nowego, oddolnego fenomenu, to właśnie na miejscowych raperach spoczywa cała odpowiedzialność za spisywanie dziejów swoich ludzi. W cytowanych tu szesnastu wersach odbija się tymczasem pełne spectrum uwarunkowań, które kształtowały łódzką scenę na przełomie tysiącleci. Od uniwersalnego, ogólnopolskiego kontekstu różnych miejskich zależności, aż po strictly lokalne

O.S.T.R. – wychowany
na Bałutach absolwent
klasy skrzypiec
Akademii Muzycznej
w Łodzi – zdominował
łódzką scenę rapową

wtręty dotyczące konkretnych klubów i ludzi – Duży Tata odmalował w tekście panoramę pionierskich czasów polskiego hip-hopu. Nieporównywalnie łatwiejszy niż za PRL dostęp do substancji psychoaktywnych i wciąż jeszcze wszechobecna, wzbierająca wręcz na sile w posttransformacyjnym rozgardiaszu miejska przemoc spotyka się tu z dbałością o subkulturowy mundur i zawartość swojego wysłużonego walkmana, a wszystko to szkicowane jest na mapie okolicznych miejscówek i przemian, jakie nadeszły po 1989 roku. Tym konkretnym miejscem w wypadku Drim Timu – duetu, który Duży Tata współtworzył wraz z EMF’em – była Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa w Łodzi, czyli tak zwany Manhattan, sięgające 78 metrów, najwyższe bloki w mieście.

„Choć osiedle to znajduje się w samym centrum, panuje tu atmosfera jak w slumsach Nowego Jorku. Boiska do kosza, pomazane mury, co chwila można wyczuć opary palonej ganji, pod blokiem prze-



Fot. Bartek Wojtowicz
/ Forum

Historia do wielokrotnego oglądania

W wypadku produkcji komercyjnych musisz się pogodzić z tym, że jesteś jak w markecie na półce. Ktoś sięga, zjada i zapomina. Nie ma cię. O dobrym serialu ludzie pogadają trzy dni, a reżyser jest jak jętką jednodniówką. Godzisz się na taką anonimowość, ale dzięki temu budujesz dom, kupujesz dobry samochód – mówi reżyser Piotr Trzaskalski.

Bogdan Sobieszek: Wracasz właśnie z rozmowy ze sponsorem. Chodzenie po prośbie to normalne zajęcie reżysera ze sporym dorobkiem filmowym?

Piotr Trzaskalski: To jest wręcz rutyna. Dotacje Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej nie pokrywają nawet połowy budżetu takiego filmu, jaki chcemy nakręcić. Aplikowaliśmy o pięć milionów, dostaliśmy dwa. Trzeba więc ładnie się ubrać, uśmieczać i pójść do ludzi, którzy mają pieniądze i są zainteresowani przeznaczeniem części z nich na kulturę. To się staje częścią tego zawodu.

A producent?

Producent chodzi ze mną. To akurat są moje łódzkie kontakty, a Kuba Kosma, producent filmu, jest z Warszawy. Jako Łódzianinowi Roku, człowiekowi, który coś tam zrobił dla tego miasta, łatwiej mi nawiązać różne kontakty mogące zaowocować dotacją. Mamy opiekę Hanny Zdanowskiej, miasto nam pomaga, chce tego filmu, bo będzie dla niego promocją. Łódź jest bohaterem mojego filmu tak samo ważnym jak ludzie. Jako twórca czuję się tu chciany. To jest bardzo miłe.

Więc może udałooby się uzyskać środki z budżetu promocji miasta? Dostaliście 300 tys. z Łódzkiego Funduszu Filmowego. To raczej skromne wsparcie, biorąc pod uwagę potrzeby.

Pani prezydent obiecała: spróbuję znaleźć jakieś pieniądze dla pana. Dzisiaj byliśmy w firmie Rossmann. Zastanowia się. Ale jesteśmy zdeterminowani. Postanowiłem zrobić film nawet za te dwa miliony trzysta, które mamy. Wyszło nam 19 dni zdjęciowych z 25, które planowaliśmy, myśląc bardzo niskobudżetowo o tym projekcie. Od kolegów z branży dowiaduję się, że za takie pieniądze się teraz robi. Możesz się obrazić albo ściąć scenariusz, uprosić go tak, żeby nie stracił na jakości. W moim wypadku udało się to zrobić bezkolizyjnie. Z Wojtkiem Lepianką zajęło nam to jeden wieczór.

Skąd taka determinacja?

Chciałem napisać scenariusz, który będzie mój. Udało mi się wyrwać Wojtkę z jego szychty przy serialach. Stworzyliśmy „Obiady domowe” – bardzo osobistą, ciekawą historię – tak, żeby dało się je opowiedzieć w Łodzi. Wrócić do starych przyjaciół – montażysty Czarka Kowalczuka,



Piotr Trzaskalski:
Łódź jest bohaterem
mojego filmu tak samo
ważnym jak ludzie

scenografa Wojtka Żogały, kompozytora Wojtka Lemańskiego. Chcę zrobić film z oddechem miasta, w którym się urodziłem.

W jakim momencie kariery jesteś, czym dla ciebie jest ten projekt?

To pierwszy od lat mój bardzo autorski film. Chciałbym w nim pokazać swoje myślenie o kinie, swoje tematy. To nie będzie produkcja obliczona na dwa miliony widzów. Ani artystyczne dzieło, które zostanie pokazane na dwóch festiwalach i koniec. Chciałbym blisko pogadać z ludźmi. Nie myślę o nagrodach prestiżowych festiwalach, które skądinąd są zawsze przyjemną przygodą. Lubię żywą publiczność, nawet jeśli kino ustawia cię za szybą i gadasz do widza wirtualnego. Zrobiłem raczej niewiele filmów, ale jestem zadowolony z życia. Uduje mi się coraz mniej przejmować rzeczami

niezależnymi ode mnie. Buduję spokój od wewnątrz. Tu szukam ukojenia. Źródłem szczęścia nie mogą być nagrody, prestiż, a nawet bliscy. To wszystko bowiem zmienia się, jest ulotne. Musisz to źródło znaleźć w sobie albo będziesz... cierpieć.

A mnie się wydaje, że to bliscy dają nam szczęście, poczucie sensu. Dzięki nim mogę powiedzieć: mam dla kogo żyć.

To jest bardzo w porządku, twórcze i potrzebne. Chodzi jednak o to, że jeśli ich spotka nieszczęście, to nie może ono zrujnować ciebie. Jeśli chcesz pomóc bliskiemu w nieszczęściu – synowi czy córce – musisz być jak lekarz. Czy lekarz współcierpi z chorym? Nie – bo wtedy nie będzie mu w stanie pomóc... Wtedy jesteś wolnym człowiekiem. Montaigne napisał: „Kto nauczył się nie bać śmierci, odczył się służyć”. Na koniec wszyscy umrzemy. Wobec takiej perspektywy robienie filmów staje się zaledwie częścią sztuki życia. Jeśli zrobię ten film, wspaniale. Jeśli go nie zrobię, wspaniale. Jeśli będzie przedmiotem kultu – wspaniale.

Rzucony na głęboką wodę

Najważniejsze jest znalezienie sobie miejsca, w którym mamy możliwość ćwiczenia wyobraźni i konfrontowania się z innymi – mówi Jędrzej Matwijów, dyplomant Szkoły Filmowej w Łodzi, laureat 44. Festiwalu Szkół Teatralnych. Otrzymał I Nagrodę Aktorską za rolę Prospera w spektaklu „Burza” w reż. Tomasza Fryzla oraz za rolę Franza w spektaklu „Pułapka” w reż. Adama Orzechowskiego i nagrodę publiczności dla najbardziej elektryzującego aktora.

Paulina Ilska: Jaka była pana droga do aktorstwa?

Jędrzej Matwijów: Pochodzę z Wrocławia. Początki zainteresowania aktorstwem biorą się z uczestnictwa w kołach teatralnych. Myślę, że takie rozbudzanie dziecięcej wyobraźni w szkołach jest kluczowe. Za decyzją większości moich kolegów i koleżanek ze szkoły aktorskiej stoi dawna pani polonistka lub instruktorka z domu kultury. To wydaje się błahe, ale niepozorne koło teatralne często uwrażliwia młodego człowieka bardziej, niż można by się tego spodziewać.

Jędrzej Matwijów:
Niepozorne koło
teatralne często
uwrażliwia młodego
człowieka bardziej,
niż można by się tego
spodziewać

Prospero Szekspira i Franz Kafka Różewicza to bardzo różne role, nad którymi pracował pan niemal w tym samym czasie. Jak to przebiegało?

To było fantastyczne. Najpierw pracowaliśmy nad „Pułapką” z Adamem Orzechowskim, doświadczonym reżyserem, obecnym w świecie teatralnym od dekad. Porównanie pracy z nim oraz z Tomaszem Fryzlem, reżyserem „Burzy”, który jest stosunkowo nowym głosem w teatrze, było bardzo ciekawe. Te procesy się znacząco różniły, natomiast łączyło je to, że w obu byliśmy mocno skoncentrowani na analizie tekstu, warstwie intelektualnej, pogłębianiu tematu. Praca nad „Pułapką” była dla mnie nieco bardziej intensywna ze względu na fizyczność tej roli. Gram tam bez przerwy przez ponad dwie godziny, jestem cały czas na scenie. Czasem wychodziłem z teatru i nie mogłem przestać myśleć o tej roli. Pamiętam, jak kiedyś reżyser powiedział do mnie po próbie: „Panie Jędrzeju, proszę jeszcze pomyśleć o tym, o czym dzisiaj rozmawialiśmy”. Odpowiedziałem: „Panie Adamie, ostatnio ciężko mi myśleć o czymkolwiek innym”. To była trudna, ale wspaniała praca. Czułem się rzucony na głęboką wodę, co było dla mnie dobre.



Fot. Krzysztof Szpryngiel

Jestem sentymentalny

Łódź jest bohaterem moich książek. Mieszkam tu od wielu lat, czuję się Łodzianinem. Ale też to miasto mnie momentami potwornie irytuje. Z jednej strony to jest miłość, z drugiej – nienawiść – mówi Tomasz Włodkowski. Jego „Krainy końca” otrzymały nagrodę Złoty Ekslibris za rok 2025.

Piotr Grobliński: Wiele lat pracowałeś w łódzkiej „Gazecie Wyborczej”, a potem zostałeś urzędnikiem i zacząłeś tworzyć literaturę. To przypadek czy może tęskniłeś za pisaniem?

Tomasz Włodkowski: To było trochę inaczej. Zawsze marzyłem, żeby pisać i stąd moja przygoda z prasą. Aczkolwiek nie uważam, żeby dziennikarstwo pomagało w pisaniu prozy, wręcz przeciwnie – raczej przeszkadza. Dlatego musiałem trochę odczekać, a i tak do tej pory spotykam się z zarzutami, że piszę jak dziennikarz. Było kilku dobrych pisarzy, którzy uprawiali ten zawód, na przykład Gabriel Garcia Marquez, Albert Camus czy Mark Twain, ale powtarzam – pewne nawyki przeszkadzają. Może dlatego jakoś mi wychodzi pisanie prozy, choć byłem raczej średnim dziennikarzem... Tak mi się wydaje.

Czytając twoje książki, miałem wrażenie, że momentami temperament dziennikarza zaczyna dominować i wtedy przywołujesz się do porządku. Mówisz sobie: hej, trzeba tu dodać trochę literackości, jakieś poetyckie porównania...

Być może tak jest. Takie myśli pewnie gdzieś we mnie tkwią. To kwestia stylu – ja swojego szukałem. Uwielbiam Prousta i początkowo chciałem pisać takim kwiecistym, barokowym stylem, być może uciekając od stylu reporterskiego. Ale doszedłem do wniosku, że to nie dla mnie, że tak nie umiem. Wtedy zacząłem szukać autorów piszących skrótowo. Oczywiście Amerykanie – Hemingway, Steinbeck. Ale te krótkie zdania znalazłem też u albańskiego pisarza Ismaila Kadare. A potem sam zacząłem korzystać z jego metody. Pamiętam twój zarzut do „Krainy końca”, że książka za szybko się kończy, że za szybko zamykam wątki. To wynika z obawy, że rzecz będzie za długa. We współczesnej literaturze denerwują mnie książki zbyt rozbudowane, przegadane.

Może nie Proust, a Tomasz Mann byłby lepszym wzorem?

Manna uwielbiam, ostatnio przeczytałem jednym tchem nowe tłumaczenie „Buddenbrooków” – Jerzego Kocha. Tak, Mann to jest niedościgniony wzór. A w ogóle to sięgam po nowe tłumaczenia, np. po Faulknera w przekładzie Dehnela, Płazy

czy Tarczyńskiego. Te nowe tłumaczenia są bardzo literackie, ale też uwzględniają zmiany w języku.

Na Facebooku widziałem twoje imponujące listy przeczytanych książek. Szukasz inspiracji, podpatrujesz?

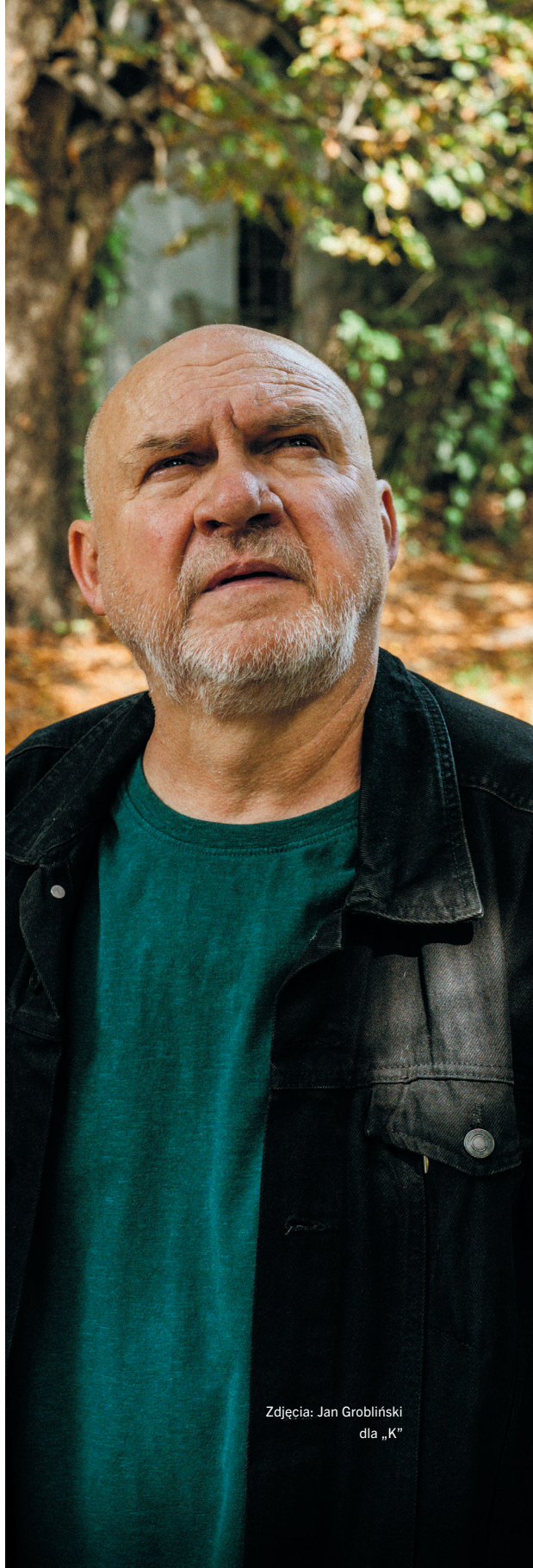
Każdy, kto pisze, trochę podpatruje innych. Pojawiają się myśli: „och, jak on to napisał, chciałbym tak umieć” albo „co za znakomity pomysł”. Ale to nie jest główny powód. Ja od czytania jestem uzależniony, czytam cały czas. Mam dylemat znany wielu twórcom – pisać czy czytać? Czas poświęcony czytaniu ogranicza czas na pisanie i na odwrót. Z nadmiernym czytaniem są dwa problemy. Po pierwsze, jeśli się dużo czyta, to się szybko zapomina, o co w tych utworach chodziło. Po drugie, człowiek sam koniecznie chce coś napisać, a to czasem droga do grafomanii. Mam nadzieję, że ze mną tak nie jest.

Widzę jeszcze trzeci problem – powstaje literatura z literatury, pisarz w ogóle nie zna życia.

Ja też czerpię pomysły z literatury. Piszę o Wołyniu, byłem tam, widziałem miasteczko, z którego pochodzi moja rodzina od strony ojca, ale wiele opisów powstaje w oparciu o literaturę. Podobnie krajobrazy i historie związane z Ziemiami Odzyskanymi opisuję, korzystając z cudzych książek, filmów. Przecież zawsze przed rozpoczęciem pisania trzeba zrobić kwerendę. Ale też w wielu miejscach opisywanych przeze mnie byłem.

Kresy, Ziemie Odzyskane, Łódź – to taki twój magiczny trójkąt. Można odnieść wrażenie, że miejsce akcji jest dla twoich książek kluczowe. Potwierdzają to także tytuły – „Zła dzielnica”, „Krainy końca”, „Wariatka ze Spornej”.

Trójkąt, o którym powiedziałaś, to są kresy. Tereny graniczne. Uważam, że Łódź jest w dużym stopniu miastem granicznym, gdzie spotkały się trzy lub cztery



Zdjęcia: Jan Grobliński
dla „K”